

Od autora: Zapraszam serdecznie do drugiej części miłosnego cyklu, gdzie odkryjecie, czym może być kochanie, akceptacja, nienawiść i wdzięczność. Czy już gotowi? W takim razie jedziemy!

Mogła mieć dwadzieścia lat, nie więcej, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją w tamtym lokalu. Pewnie w innym miejscu nie zwróciłbym na nią nawet uwagi. Pewnie w morzu innych twarzy nigdy nie przykułaby mego spojrzenia. Kiedy to było? Jakoś trudno mi sobie teraz przypomnieć, pamiętam jednak, że było skwarne, ciężkie lato, takie, co to zdarza się raz w stuleciu, i właśnie wtedy musiał być ten jeden raz, gdy to się podobno dzieje. I tak sobie w mig skojarzyłem ją z tym morderczym, zagęszczonym jak syrop upałem - nie było potem już takiego lata i takiego żaru.

Była średniego wzrostu i równie średniej urody – nie za gruba, ani nie za chuda, ciemnowłosa, rysy twarzy nienadzwyczajne - przeciętna, lecz w dobrym tego słowa znaczeniu, – choć istniały ładniejsze od niej, wyższe i obdarowane przez los bardziej kobiecymi figurami, o niej można było śmiało rzec, że miała coś w sobie, co wyróżniało ją wśród rówieśniczek i setek innych młodych, ładnych dziewczyn – to coś, czego nikt nie umiał nazwać i ująć w słowa.

Może sposób bycia, może barwa głosu, może ciepła, młoda opalenizna?

Może trochę kocie, powolne ruchy kogoś, komu się nigdy nie śpieszy i lubi siebie takim właśnie, woli, gdy wszystko odbywa się nie za szybko, ani nie za wolno.

W tamto upalne lato ubrana była w biały fartuch, okrywający młode, opalone ciało, a jej wielkie, brązowe oczy ciekawie obserwowały każdego, kto wchodził lub wychodził z cukierni, w której wtedy pracowała od kilku dni, razem z kilkoma, innymi kobietami, od niedawna zatrudnionymi tam przez jedyne go mężczyznę wśród nich – właściciela - człowieka dobiegającego już sześćdziesiątki, Edwina Mohra.

Wnet już wiedziałem, że nie była Anną ani Ewą, była Sonią, i przyznam, że to imię bardzo do niej pasowało, przynajmniej w moim mniemaniu. I na chwilę zapomniałem o bólu zębów, który prawdopodobnie będę odczuwał po zjedzeniu owych pączków, które zaraz kupię, i kiedy zbliżyłem się do niej i spojrzałem na nią, mówiącą bez przerwy i ożywioną, żywo gestykulującą szczupłymi, opalonymi, rękoma zrozumiałem, co potem wielu z nas mogło w niej widzieć, a na co nigdy nie mieliśmy definicji.

Były to jej zęby.

To one przykuły natychmiast uwagę i wysunęły się na pierwszy plan, zaistniały nagle samoistnie, własnym, wielkim, olśniewającym życiem, w oderwaniu od reszty twarzy, która przeciętna - jakich wiele w morzu innych twarzy młodych, ruchliwych kobiet - wówczas wydała mi się wręcz brzydka w porównaniu z nimi, i zaskoczyła szybkim, nieoczekiwanym kontrastem.

Mimowolnie drgnąłem.

Kiedy jej usta rozchyliły się i błysnęły dziesiątki, białych jak kość słoniowa zębów, pięknych i drobnych poczułem, jak niewidzialna ręka przesuwająca kostkę lodu po moim grzbiecie, wolno i jakże niewybaczalnie zmysłowo.

Coś utwierdziło mnie w żelaznym przeświadczeniu, że pewnego dnia ta dziewczyna najzwyczajniej sprawi, że moje zwyczajne życie stanie się magicznym pasmem zbiegów okoliczności, splotów nieprze-

widywalnych dni, i nocy, kiedy czas stanie, bo pewne minuty są z innego wymiaru, gdzie to, co ludzkie, nie ma głosu.

I kiedy leżeliśmy na kocu nad rzeką, nadzy i zaspokojeni, powiedziała mi tak lekko, tak zwiewnie, że odparłem równie spokojnie:

- Mnie to nie przeszkadza. Ty się liczysz, Soniu, tylko ty. I wszystko, co się z tobą wiąże.

- Ale on...

- Daj spokój. Dla mnie to nie problem.

- Czy mógłbyś?

- Tak. Wiem to.

- Przecież...

- Kocham cię. A to wiele znaczy.

- Ale on ma...

- Wiem, że ma, i co z tego?

- Tamten może kiedyś wrócić.

- Nie wróci.

- Skąd wiesz?

- Już by to zrobił.

- Mały ma dopiero roczek. Tamtego nigdy nie skojarzy.

- Oby tak było. Po co mu przekleństwo na całe życie.

- Piętnaście lat kiedyś minie. Tyle dostał. Są też przepustki. I co wtedy?

- Zostaw to mnie.

- To chory człowiek. Dla niego zabić, to jak dla ciebie zjeść pączka.

- Jakoś mnie to nie bierze.

- Boję się. O siebie, o nas, o małego.

- Zaczekam na niego. Mam nadzieję, że tu nie przyjdzie.

- Przyjdzie. Coś mi mówi, że zrobi to przy najbliższej okazji.

- Wtedy spotka mnie.

Steven, kochaliśmy się z twoją mamą jak nikt nigdy przed nami.

Byliśmy dla siebie stworzeni, zapisani w gwiazdach, dwie połówki tego samego jabłka.

Nie było dla mnie przedtem innej kobiety – kiedy ją ujrzałem, zrozumiałem, że nie zaznam spokoju, jeśli się z nią nie umówię, nie skradnę pocałunku, nie dotknę dłoni.

Zrobiłem to bardzo szybko: mama nie odmówiła, podobałem jej się i poszliśmy nad rzekę.

Było lato, i w nas był sierpień, sierpień naszego kochania.

Kąpaliśmy się nago w rzece, a z góry księżyc, ten stary zakapior, patrzył na nas z uśmiechem i błogosławił, bo pewne rzeczy dzieją się w życiu tylko raz, albo nigdy, i nasz raz był właśnie wtedy.

Kiedy mamy przy tobie nie było, opiekowała się tobą ciocia Helen, sąsiadka, stara panna.

Nigdy nie płakałeś, jakbyś czuł, że wszystko idzie w dobrym kierunku, że życie, które ci dano, obdarzy wieloma skarbami.

Bo rosłeś wśród miłości, jaka rodzi się bardzo rzadko – nam dane było poczuć jej smak.

Poczuć, czym może być kobieta dla mężczyzny, czym może być bicie dwóch serc.

- Soniu, kocham cię. Nikomu tego nie mówiłem, nie było nikogo. Dopiero teraz ty...

- Mike, dziękuję ci za „to”.

- Nie musisz.

- Ale chcę.

- Jesteś moja ze wszystkim, co twoje.
- Nie każdy by tak powiedział.
- Nie jestem każdy.
- To ty powinienes być jego...
- Nie kończ.
- Dobrze.
- To już pięć lat. On nadal jest tam. Nie bój się. Na szczęście mam płytki sen.
- On kiedyś wyjdzie i co wtedy?
- Nic. Nic nie wskóra.
- Obyś miał rację.

W każdej wolnej chwili chodziliśmy nad rzekę, rozkładaliśmy koc i kochaliśmy się. Zabierała mnie do nieba za każdym razem, kiedy byłem w niej, gdy czule obejmowała mnie nogami i całowała, jakby świat miał jutro rozpaść się na milion kawałków, jakbyśmy mieli nie doczekać świtu. Nasze kochanie jednak pokonało czas – mijały lata, a ja i Sonia bywaliliśmy nad wodą, choć obok galopowały miesiące, zimy i wiosny, gasły soboty i wtorki, a ja czułem całym sobą, że bardziej szczęśliwy już nigdy nie będę, moje „tu i teraz” znaczyło bramy raj. I kiedy pieściłem jej młode, opalone ciało wiedziałem, że bez niej zgasnę. Jedliśmy pączki z cukierni i Sonia mówiła, że mało ją to obchodzi, że nie mogę mieć dzieci. I dla mnie było to zaskoczeniem: nigdy nie byłem u lekarza, więc skąd mogłem o tym wiedzieć, wszak nie robiłem przedtem żadnych badań. Jakoś nauczyłem się z tym żyć – miałem ją, i niczego więcej nie potrzebowałem do szczęścia.

*Steven, rosłeś i patrzyłeś wesołym okiem na nasze szczęście.
Pamiętasz wyprawę do Weird Smilin’?
Kiedy łowiliśmy pstrągi, brodząc w potoku?
Mama robiła nam z brzegu zdjęcia, a ty pozowałeś jak wytrawny wędkarz.
Potem zrobiliśmy ognisko i zjedliśmy ryby, popijając sokiem jabłkowym.
Grałem ci na harmonijce „Old Apache Squaw” Johnny’ego Casha, a ty klaskaleś radośnie, podczas gdy mama tańczyła, ciesząc się tą niepowtarzalną chwilą.
Jeśli miałbym zakląć w magicznej sekundzie moje błogosławieństwo, byłaby nim tamta noc.
Jakże zakochani, jakże sobie bliscy, i on, ten mały mężczyzna między nami – ty, Steven.
Nigdy nikogo nie kochałem, aż poznałem twoją mamę, i wówczas pojąłem, że to mój czas.
Że już tak musi zostać, że zrobię wszystko, bym stał się jej mężczyzną.
I nie obchodziło mnie, że pracuje w cukierni, że nie ma studiów, ja też nie miałem, liczyło się dla mnie tylko to, co do niej poczułem, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem za ladą.
Bo zawsze wierzyłem w miłość.
Bezwarunkową, taką, która czyni w życiu człowieka trzęsienie ziemi.*

- Mike, to może stać się w każdej chwili.
- Co?
- Oni po tylu latach mają wolne.
- A czemu miałyby akurat nas odwiedzić? To już wieki, odkąd tu ostatnio był.
- Właśnie dlatego. On nie popuści. Znam go, to bydlę. Wcześniej czy później dostanie przepustkę. Pewnie już wie, że z tobą żyję. Że cię kocham. Że mały... że i on...
- Soniu, kocham cię. Nie bój się. On nie da rady.
- Budzę się w nocy i słyszę jego głos nad sobą: „Zabiję cię, suko, zabiję”.

- Tak, często krzyczysz we śnie, ale to się zmieni.
- To się nigdy nie zmieni, dopóki on żyje.
- Jestem z tobą.
- Wiem, i może dlatego jeszcze nie zwariowałam.
- On tu nie wejdzie.
- Tego nie wiesz.
- Teraz już wiem.

W marcu 1965 bardzo wiało, tak, jakby wszystkie diabły powiesiły się w piekle.

Była noc, ciemna jak przekleństwo, podła jak umieranie.

Nawet nie wiem, jak to się stało, jak udało mu się dostać do domu.

Jak cień bezszelestnie wszedł do naszej sypialni.

Ile na nas patrzył, tego nikt nie wie – musiał być w pokoju przez jakiś czas, zanim zdecydował się na krok, na coś, co żyło w nim od lat, a teraz mogło znaleźć upust.

Obudził mnie przeraźliwy krzyk Soni.

- No co, tak witasz męża? – krzyczał, trzymając jej nóż na gardle. – A ty, synku, co się tak gapisz, taty nie widziałeś? Tata jest w domu i robi z wami porządek. Mam wolne do jutra, więc mój nóż wyrówna rachunki.

Już nie spałem, słyszałem wszystko, i wstałem z łóżka jakby nigdy nic, jakbym szedł na poranną jajecznicę:

- Wynoś się stąd – powiedziałem.
- Że co?
- Wynoś się stąd – powtórzyłem.
- Mieszkasz w moim domu, walisz moją kobietę, otumaniasz mojego syna.
- To nie jest już twój dom. Nigdy nie był. Rodzina Soni go wykupiła dla niej.
- Wszedłeś w moje kapcie, w moje życie, śmieciu.
- Zabierz ten nóż. Ona ma delikatne gardło. Poza tym Steven patrzy, nie zauważyłeś?
- A niech patrzy, skoro matka zdzira.

Pierwsze cięcie nie było głębokie.

Potem śmiał się i zlizywał z noża jej krew, trzymając ją od tyłu za włosy.

Nie wytrzymałem, i mało mnie obchodziło, co się ze mną stanie:

- No chodź, potnij mnie, skurwielu, zabij, masz jaja do tego? Łatwiej zabić kobietę? Może i małego zarznieś? Bo się nie obroni, tak?
- Ktoś to musi zrobić. Głos mi powiedział, że muszę. On jest w mojej głowie.
- Głos?
- Tak, to musiał być Bóg.
- Kazał ci nas pochłastać, tak?
- Tak. Po to tu przyszedłem. Jako wasze miłosierdzie. Pomogę wam iść do raju.
- No to zabij. Zabij mnie, ale ich zostaw w spokoju. Puść ją, jeden raz to o jeden raz za dużo.

Steven, kiedy umierała twoja mama, stałem obok i krzyczałem, by pociął mnie.

Bym to ja poszedł do piachu, ale to odeszła moja ukochana, jedyna kobieta mojego życia.

Twoja mama, moja Sonia, mój anioł stróż, z którym przeżyłem wiele lat w szczęściu.

I choć mogłem go zabić, bo obok wisiały na ścianie noże kuchenne, padłem na kolana i zapłakałem, ja, człowiek nieznający samego siebie, jednak wolny od żądz mordy.

To ból wziął mnie wtedy w swe władanie, to on sprawił, że ręka nie zadała ciosu.

*Poczułem zapach piekła, które nagle wsączyło się do duszy i rozlało mętną falą.
Nie wiem, jak to przeżyłem, nie wiem, jak to możliwe, że nie pękło mi serce.
Że nie postradałem zmysłów – wtedy widziałem tylko ją, tam, na podłodze.
Przysunąłem się do trupa Soni i pocałowałem ją, ostatni raz, jakże beznadziejnie.
Gdzieś gasła radość, jaką mi dawała, gdzieś umierała nadzieja na szczęśliwe życie.
Wziąłem ją na ręce i delikatnie położyłem na łóżku, poprawiając poduszkę, jakby miała jutro rano znów
obudzić mnie swoim słodkim uśmiechem i zaprosić na poranną kawę z czekoladą.
Jakby miłość, która kiedyś spadła na nas z gwiazd, miała otulić czułym płaszczem.
Ręcznikiem okręciłem krwawiącą szyję.*

Wtedy zza szafy niepostrzeżenie wyszedł Steven i zapytał ze łzami w oczach łamiącym się głosem, w którym była śmierć i niedowierzenie:

- Dlaczego zabił pan moją mamę?
- Zamknij się, szczeniaku! – krzyknął Fred.
- Pan jest mordercą.
- Jestem twoim tatusiem, kochany – wysapał. – Chodź, przytulę cię, mały.
- Nie znam pana. Mój tatuś stoi tam - to powiedziawszy, wskazał na mnie.
- Zarżnę go zaraz, zakład?
- Niech pan zarżnie mnie – powiedział Steven. – Tylko mnie. I niech pan nie zabija już nikogo w tym domu. Mam tylko dwanaście lat, ale moje serce wiele czuje. Kocham ludzi, i świat. Pan pewnie nie...
- Nie.
- Więc proszę: zabije mnie pan?
- Ty gnojku!
- Niech mnie pan zabije, jak moją mamę. Mam tylko dwanaście lat, co komu z mojego życia.

Kiedy potem jakby od niechcenia rzucił nóż w kąt pokoju, spostrzegłem w jego oczach bezdenne upadki, pustkę wymarłych stepów, lodowatą obojętność, na którą nie miałem nazwy, bo jak określić kogoś, w kim nie było już życia, kto był kupą ścierwa?

Już nie chciał nic udowadniać, leżał teraz beładnie na dywanie i patrzył tępyim wzrokiem w sufit, jakby liczył na nim barwne punkty, podczas gdy ja drżąc cały na ciele dzwoniłem na policję, wymknąwszy się po cichu z pokoju.

Pewnie zauważył moją nieobecność, ale nie zrobił nic – szklany wzrok lustrował przestrzeń.

Steven znalazł nóż, umył go pod kranem i schował do kieszeni.

Gdy go potem wyprowadzano skutego w kajdanki, nawet na nas nie spojrzał, tylko na twarzy wciąż igrał obleśny, debilny uśmieszek, jakaś chora radość płynąca z chorego spełnienia.

Nucił coś pod nosem, sprawiając wrażenie wyrwyku niepasującego do całej układanki, jakby nagle znalazł się na wesołym festynie, gdzie zewsząd dochodzi tylko śmiech i radość.

Tylko mały stał za mną i jego łzy były moimi, choć ich nie uroniłem, a całe serce wyło.

Coś umierało na zawsze, coś w księdze mego żywota stawało się martwą literą.

A ja musiałem dalej z tym żyć, kłaść się spać i budzić z myślą, że jej już nie ma.

Że na tym świecie już nigdy nie pojedziemy nad rzekę i nie będziemy się tam kochać.

Po latach, kiedy już byłem schorowanym starcem, dobiegającym dziewięćdziesiątki, z trudem chodzącym o lasce, nie zostałem jednak sam, bo to, co dawałem przez całe życie, wróciło do mnie w dwójnasób: dostałem od Stevena największy pokój w jego pięknym, wielkim domu, a on sam traktował mnie z najwyższym szacunkiem, należnym ojcu.

Na ścianach wisiały gęsto nasze cudowne zdjęcia z niezapomnianych lat, które bezpowrotnie zabrał czas, jednakże nie zabrał magii wspomnień i tego, co utrwalił na kliszy aparat. Dobrze mi było i Steven o tym wiedział, a ja byłem dumny, że go mam. Jego żona i dzieci kochały mnie i czułem, że lepiej nie mogłem trafić, że stare lata nie upływają mi w domu starców, gdzie miłość nigdy nie zagłada i umiera się w zapomnieniu. Jednak czasami przypominałem tamten dzień, kiedy poznał prawdę. Bo ja wciąż kochałem Sonię i nadal widziałem tamtą straszliwą scenę.

Mówilem mu:

- *To Fred był twoim ojcem, nie ja. Ja tylko kochałem was jak rodzinę. Nie zrobiłem niczego specjalnego.*
- *To nie tak – odpowiadał. – Zupełnie nie tak.*
- *A jak? – pytałem.*
- *To ty byłeś ze mną na dobre i na złe? Każdego dnia, w zdrowiu i w chorobie?*
- *Tak.*
- *To ty wychowałeś mnie, cudze dziecko na ludzi, kiedy zabrakło mi mamy?*
- *Tak.*
- *To ty przez te wszystkie lata trwałes przy mnie noc i dzień?*
- *Tak.*
- *To ty zabierałeś na ryby jak własnego? I daleś mojej mamie cudowne życie?*
- *Tak.*

Czasem prosi mnie, byśmy pojechali tam, gdzie nam z Sonią było dobrze.

Chce odwiedzić miejsca, w których dotknęliśmy nieba, bo one nadal istnieją, choć pewnie dziś kto inny tam kocha, kto inny przeżywa to, co nam dane było przeżyć.

W końcu dość słabo pamięta mamę, bardziej czuje jej istnienie, niż ma je w głowie, bo wie, że choć jej nie widzi, ona jest przy nas, jakby nigdy nie odeszła owego dnia.

Jako syn ma do tego prawo – chętnie na to przystaję i wydaję mapę.

A na niej wiele kolorowych miejsc, gdzie dano nam kochanie, drżenie ciała, i to, na co nie ma nazwy – namiętność – coś, co nas określiło i dało nam siebie, każdego dnia i każdej nocy, ilekroć poczuliliśmy, czym jest miłość, ta najszczęśliwsza, najgorętsza, jedyna.

Nasze świty, nasze zachody słońca, tkliwe poranki i wieczory, i my, zakochani, nierozłączni.

Czułe chwile na wieczność, coś, co zabiorę ze sobą tam, gdzie przyjdzie się nam znów kiedyś spotkać, gdzieś „na tamtym brzegu”, na zielonych pastwiskach, u raju bram.

Tam powiem, jakby nigdy nic: „Cześć, Soniu, to znowu ja. Minęło trochę czasu, ale znów jestem z tobą, i tak już pozostanie. Zapisano nam to w gwiazdach. Bo jeśli kochasz naprawdę, to kochasz tylko raz. Jak my, jak ty i ja. Bo kochanie to cud, to spotkanie dwóch serc w tym samym miejscu i czasie. Masz to jak w banku, możesz mi zaufać”.

Cykl: Dziewięć liter, dwa słowa, jedno znaczenie

14 sierpnia 2016

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 04.09.2016 23:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.